



Ułańska szarża (12): Uroki końca sezonu albo Do zobaczenia na Wschodzie

data aktualizacji: 2018.10.08



Co roku na przełomie lipca i sierpnia bagaż żuźlowych emocji staje się zbyt duży. Kolejny wyścig i serce chyba wyskoczy z piersi. Co roku w tym czasie powtarzam sobie, a wraz ze mną liczni znajomi, że tego następnego Grand Prix to już na pewno nie obejrzymy, potrzebujemy chociaż jednej rundy odpoczynku.

Potem rzecz jasna wszyscy oglądają i emocjonują się dalej, i wydaje się nam, że to już górna granica adrenaliny, z jaką jest w stanie żyć człowiek... I co roku w październiku, kiedy w końcu jest po wszystkim, kiedy zapadną „wielkie” rozstrzygnięcia, zamiast ulgi przychodzi zdumienie: jak to, to już minęło? Sezon się skończył? To ten moment, kiedy cieszy każdy dodatkowy bieg, każde speedwayowe wspomnienie i każda wzmianka o żuźlu, choćby miał to być krótki komunikat nocą w ogólnopolskim radiu, według którego mistrzem świata został niejaki „Łyfinyn” (wypowiedziane bez grama stosownego akcentu, nie łudźcie się), a o Zmarzliku nie wspomniano wcale.

Formalnie sezon nadal trwa, zostało nam wszak kilka turniejów rozsianych po całej Polsce, ba, może ktoś już zapomniał, ale mamy przed sobą i finał ligi brytyjskiej. Ale od kilku lat zakończenie „wielkiego” sezonu jest tożsame z ostatnim turniejem Grand Prix, po którym wszyscy myślami zacierają już w stronę zimy. Coś się kończy, a coś się zaczyna.

Walka o mistrzowski tytuł trwała wprawdzie niemal do samego końca - rzadko kiedy w ostatnich latach rozstrzyga się dopiero w półfinale ostatniego turnieju - ale większość kibiców chyba w głębi

duszy czuła, że odebrać Taiowi Woffindenowi złoto może już nawet nie Bartosz Zmarzlik, a cud. Bartek pojechał swoje, doskoczył do poprzeczki, którą sam sobie zawiesił – ale to było za mało. Pogubiły się punkty w całym sezonie, mniejsza o to, w jakich turniejach dokładnie. Ale jego srebro to i tak wielkie osiągnięcie dla młodego gorzowianina i wspaniały prognostyk na przyszłość. Najważniejsze pytanie brzmi: co on z tym zrobi. Czy uzna za porażkę, czy – jak na dobrym coachingu – za szansę rozwoju.

Zbójckie prawo felietonistki pozwala mi wyluskiwać z masy żuźla subiektywne odczucia, toteż nie doczekacie się ode mnie długiego akapitu o wszystkich sportowych i nie tylko sukcesach Taia Woffindena. I przede mną byli, i po mnie będą ludzie, którzy o to zadbają, a wolę nie przykładać się do akcji „Brytyjczyk wyskakujący z każdej lodówki”. Co za dużo, to niezdrowo. Powiem tyle: koniec tego sezonu to dla niego nowy początek – tym razem wyścigu z sześcioma tytułami Rickardssona i Maugera. Czy to się Woffindenowi uda? Cóż, kolejka do złotych medali jest długa, widziałabym co najmniej kilku zawodników, którym przydałby się taki krążek na szyi. Różnorodność jest ciekawa, a nawet najciekawsza zwycięska passa w końcu się nudzi. Pamiętacie dublety Rickardssona? Albo złote lata Nickiego Pedersena? Przesyt wisiał w powietrzu...

A skoro już o Nickim – kończy się bez wątpienia pewna era, era Pedersena w Grand Prix. Po blisko dwóch dekadach Duńczyk żegna się z cyklem, może na rok, a może już na zawsze. Czego nie mówiliby naczelnicy krytycy Pedersena, bez niego Grand Prix nie będzie takie samo. Swoimi akcjami na torze i poza nim wprowadzał sporo kolorytu, zresztą, to tak barwna postać, że nawet gdy sportowo mu nie idzie, i tak człowiek mimowolnie kieruje na niego wzrok. Nicki podporządkował żuźlowi większość życia. Jak wspomina, nawet w szkole uczył się tych przedmiotów, które mogły mu się przydać w sportowej karierze (a były to przede wszystkim angielski i... matematyka). Jakby mimochodem, w dodatku do przebogatego żuźlowego CV, stworzył coś na podobieństwo biznesowego imperium i swoją własną markę. Niezależnie od wyników jest najczęściej wspominanym w Danii żuźlowcem i gwiazdą tamtejszej prasy. A poza tym to prawdziwy trickster Grand Prix – to on często wypowiada to, o czym inni zawodnicy tylko pomyślą i sami się tych myśli zawstydzą. To on potrafił głośno powiedzieć, że tor nie nadaje się do jazdy i trzeba coś z tym zrobić, zanim wyśle się do boju światową czołówkę. Kto teraz będzie się przeciwstawiał absurdalnym niekiedy pomysłom Phila Morrisa i spółki?

I przy wszystkich tych faktycznych czy domniemanych zaletach Pedersena moje poczucie sprawiedliwości cieszy się, że nie powędrowała do niego dzika karta. Wystarczy kolejnych szans. W kolejce są inni, młodzi, zasługujący na swoje wielkie chwile w Grand Prix. Wyjątkowo szybko ogłoszone „dzikusy” okazały się też wyjątkowo sprawiedliwe – jeden zawodnik od dawna zasługujący na cykl, a wiecznie pomijany (Madsen) oraz trzech matadorów, którzy mogli powalczyć o ósemkę, ale plany pokrzyżowały im kontuzje (Dudek, Vaculik, Żagar). Może słoweński komandos to nie dokładnie ta świeża krew, której się spodziewaliśmy, ale jego chimeryczna postawa w Grand Prix ma bez wątpienia swoje uroki.

Coś się kończy... Powoli opada kurtyna sezonu. Asy odjechały dla Golloba mimo mrozu i przeciwności losu (a tych paru, co bez wyraźnej przyczyny nie dojechali do końca, ma o czym myśleć w przerwie międzysezonowej). To jedna jaskółka, która jeszcze wiosny bydgoskiemu żuźlowi nie czyni, ale może pozwoli odrestaurować Kryterium Asów i przywrócić mu dawną świetność, a razem z nim – i całej Polonii Bydgoszcz. Chciałabym. To kawał pięknej historii polskiego speedwaya, oby nie został nim już tylko w czasie przeszłym.

Coś się kończy... Niedawni rywale przypominają sobie, że są częścią wielkiej żuźlowej rodziny, idą na posezonowe piwko i odświeżają konta w mediach społecznościowych. Zima będzie długa i dla wielu pracowita. Trzeba poprawić osiągi motocykli, uporządkować bałagan w głowie, w najlepszym

wypadku - poustawiać na honorowej półce kolekcję pucharów z roku 2018. A przedtem przecież czeka nas to, co się zaczyna: sezon na „widziałem busa X w mieście Y. Wróżko Joanno, co to znaczy?”. Wróżka Joanna odpowiada: znaczy to przede wszystkim, że miasto Y leży na dobrym szlaku komunikacyjnym. W mojej miejscowości klubu żużlowego od dawna już nie widziano, za to busy zdarzają się regularnie: to Smektała, to Sajfutdinow, swego czasu pod domem zawracał sam Woffinden. Gdyby ten klub jednak wskrzesić po kilkudziesięciu latach, na podstawie samego kryterium logistycznego mielibyśmy cokolwiek ekstraligowy skład.

Coś się zaczyna... Dzikie karty już rozdano, do oficjalnego otwarcia transferowej karuzeli jeszcze kilka tygodni, ale ptaszki ćwierkają, że w międzyczasie dowiemy się w szczegółach, gdzie będzie się toczyć walka o mistrzostwo świata 2019 - i indywidualne, i drużynowe. Parę aren już ujawniono: Wrocław, Warszawa, Malilla, Hallstaviik, niezmiennie Praga i Cardiff. Opowieść o Kazachstanie należy włożyć między bajki, i całe szczęście, ale znów sen Armando Castagni o Indiach napawa pewnym niepokojem. Po co organizować turniej w kraju, który o żużlu nigdy nie słyszał? Jak go promować wśród miejscowej ludności? „Zobaczcie, jak walczą o mistrzostwo świata zawodnicy uprawiający dyscyplinę, o której nie macie pojęcia”? Litości. Indie nie są nawet odpowiednio fancy jako kurort wypoczynkowy dla oficjeli z FIM i BSI, więc po co to komu? O wiele ciekawszą i sensowniejszą jest pogłoska o finale Żużli Narodów w Togliatti. Rosja śni się BSI od dawna, dotąd problemem były głównie braki finansowe po tamtej stronie. Aż tu nagle, niespodziewanie nawet dla tych, co to ruski spidwiej śledzą od dawna, Mega-Łada złożyła ofertę organizacji. Chyba tylko chwilowa niepoczytalność władarzy cyklu mogłaby sprawić, że te Żużle Narodów w Rosji nie zostaną oficjalnie klepnięte. Zmartwionych uspokajam: jest bliżej niż do Indii. I język taki bardziej do polskiego podobny. Ogółem - polecam ten kierunek.

To co? Widzimy się za rok w Togliatti?

Źródło:

<https://www.speedwaynews.pl/aktualnosci/item/58690-ulanska-szarza-12-uroki-konca-sezonu-albo-do-zobaczenia-na-wscho-dzie>